

Płacz pani czasem nagrywając swój program?

– Kilka razy płakałam w telewizyjnym studiu, bo to, co mówią ci chorzy ludzie, czasem mnie przerasta i pęka mi serce. Kiedyś tak się rozplakałam, a dziewczyna na wózku, z którą rozmawiałam, pogładziła mnie po włosach i powiedziała „Pani Aniu, niech pani nie płacze, świat jest piękny i wspaniały”. I popłakałyśmy chwilę razem. Łzy to czasem dobra rzecz. Uspokajają i zbliżają. Oni patrzą i widzą, że naprawdę z nimi rozmawiam.

– Jest panią szczególną gwiazdą telewizyjną. Nie tańczy pani przed kamerami, nie występuje w taslemkowych serialach. Rozmawia pani z niepełnosprawnymi. Jak trafiła pani do programu „Spotkajmy się”?

– Telewizja zgłosiła się do mnie w 2003 roku. Chcieli zrobić jakiś program o niepełnosprawnych. Z początku myślałam, że nic z tego nie będzie, bo ich pierwsza koncepcja zupełnie mi nie odpowiadała. W końcu Nina Terentiew spytała, jak ja to sobie wyobrażam. A ja na to, że nie może być żadnego show. Musi siedzieć człowiek naprzeciwko człowiekowi. Tacy sami, choć w innych sytuacjach: jeden zdrowy, a drugi cierpiący, umierający, chory. I tak to się zaczęło.

– Kiedy patrzę, jak pani prowadzi kolejne spotkania, odnoszę wrażenie, że często nie wie pani, jakie będzie następne pytanie. Ze skupia się pani na tym, co dzieje się w tej chwili, w tej sekundzie.

– Bo to prawda, nie trzymam się żadnego scenariusza. Zastanawiam się: „Boże Świąty, a co hym zrobiła, gdybym na przykład miała padaczkę?” Potem szukam osób, które cierpią na tę okropną chorobę i zgodzą się wystąpić przed kamerą...

–... I nie stara się pani dowiedzieć czegoś o chorobie, na którą cierpi pani rozmówca?

– Czasem solidnie przygotowuję się do rozmowy. Ale siłą tych spotkań jest to, że ja rozmawiam jakbym nie wiedziała nic. Po prostu spotyka się dwoje ludzi i rozmawia. I jedno z nas pyta drugie: Dlaczego ty jesteś sparaliżowany? Co ci się stało? To jak ty sobie radzisz? Boli cię to? Jak ty sikasz? A masz dziewczynę? Ja tak pytam, bo oni nie potrzebują rozmów o chorobie. Oni chcą się zwyczajnie zaprzyjaźnić. Z każdym z nich potem utrzymuję kontakt.

– Które spotkanie zapadało pani szczególnie w pamięć?

– Było ich wiele. Ale kiedyś przyszła do mnie para młodych ludzi: ona zdrowa i piękna dziewczyna, on śmiertelnie chory. I ja tak patrzę na tę dziewczynę i mówię – „Danusiu, jesteś młoda, śliczna, przecież wiesz na co Bartek jest chory. Nie chcesz iść na tańce, gdzieś się zabawić? Przecież żyjesz obok człowieka, który umie-



Anna Dymna z jedną ze swoich podopiecznych ze schroniska w Radowicach.

ZAWSZE CHCIAŁAM BYĆ TAKA JAK MAMA

Rozmowa z Anną Dymną, aktorką, współtwórczynią telewizyjnych rozmów z osobami niepełnosprawnymi „Spotkajmy się”.

Szczęśliwy i spokojny. Ze zdumieniem patrzyłam, jak wielka i prawdziwa miłość potrafi odrzucić śmierć z grozy umierania. Nigdy tego nie zapomnę.

– Czy udział w programie był dla pani pierwszym kontaktem z chorymi?

– Nie, zaczęło się siedem lat temu.

Któregoś razu ktoś poprosił mnie, abym zasiadła w jury przeglądu twórczości teatralnej ludzi niepełnosprawnych umysłowo w schronisku Brata Alberta w Radowicach. Założył je i prowadzi ks. Tadeusz Zalewski. Strasznie się bałam, że jadę do ludzi, którzy będą się niezrozumiale zachowywać, że nie będą umiała się do nich zbliżyć. Tymczasem właśnie tam stało się ze mną coś dziwnego. W ciągu kilku minut zostałam otoczona setkami dziwnych ludzi, każdy chciał mnie dotknąć, wszyscy mnie ściskali i całowali. Kilkoroz z nich wiedziało kim jestem, większość nie.

– I wtedy pani zrozumiała, że już ich pani nie zostawi?

– Tak. Coś zaczęło kielkować w mojej duszy, rodził się jakiś pomysł. Zaczęłam do nich wracać. Nie umiałam wówczas nazwać tego, co się zaczęło ze mną dzieć. Byłam z nimi często, ot tak sobie. Mówiłam, że jadę na wycieczkę, jechałam do nich.

– Dziel pani wie dlaczego?

– Wiem. Ci ludzie zachowali czystość uczuć. Oni nie myślą mózgiem, tak jak my. Myślą sercem, mają w sobie czystą radość, czysty smutek. Mają czyste to, co my od dawna mamy stłamszone, wypaczone. My kombinujemy, kalkulujemy, oddalamy się od siebie. Zapętłamy się w coraz szybszym, cyfrowym przekazie informacji, coraz rzadziej spotykając się ze sobą i rozmawiając. A ja tam jechałam, aby spotkać prawdziwego człowieka. Kiedyś sobie pomyślałam, że to

w nich widzę zakodowany wzorzec człowieczeństwa.

– A czy pani przypadkiem nie ucieka: z trudnej, złej, często niewdzięcznej, bezwzględnej rzeczywistości do świata prostego, jasnego, trochę naiwnego?

– Całe życie wędruję.

Wtedy, w 1999 roku, dużo grałam, pracowałam, uczyłam studentów. Miałam co robić. Ale ze mną zawsze tak było, że ze sceny czy sprzed kamer uciekałam w rzeczywiste życie. Szukam pewnej harmonii pomiędzy tym, co muszę pokazywać i grać z racji wykonywanego zawodu, a prawdziwą rzeczywistością. I nagle się okazało, że ten świat ludzi niepełnosprawnych umysłowo to świat ludzi normalnych. To ja przychodzę z nienormalnego świata do ich świata prostego i czystego. I gdy któregoś dnia głośno to sobie powiedziałam, to aż się sama siebie przeraziłam. Ale zrozumiałam też, że faktycznie ten ich świat, choć bardzo trudny, jest moim azylem.

– Aktorstwo to zawód nastawiony na sukces, światła, oklaski. Łatwo było pani odnaleźć się w świecie cierpienia, gdzie własną uwagę trzeba skupić na innych, nie zaś na sobie?

– Byłam tak wychowywana w domu, że wokół mnie są inni ludzie i trzeba ich szanować. Miałam wspinać mamę, która nauczyła mnie,

że jak chcę sobie pokrzyknąć, to wcześniej mam sprawdzić, czy ktoś nie śpi. Wychowała mnie w wielkiej tolerancji do innego człowieka. W związku z tym to przejście, o które pan pyta, nie było dla mnie problemem. Z wielkiej egoistki nie przerodziłam

się nagle w wielką altruistkę. Ja zawsze taka byłam. Zawsze chciałam być taka jak mama.

– Aktorstwo uwarżliwia na innych?

– To prawda, wykonuję dziwny zawód, z pewnością trochę egoistyczny. Ale, z drugiej strony, aktorstwo to miśja i w komunie, choć nie się wówczas nie zarabiałem, mieliśmy świadomość, że służymy ludziom, byliśmy kimś. Teraz to się trochę zmieniło. Czasem chodzi o to, by po prostu pracować i zarobić. Na pewno spadliśmy z jakiegoś piedestału. Coraz częściej traktują nas jak takie małpy do wszystkiego, które zawsze można kupić po uzgodnieniu ceny. Trudno mi się z tym po-

godzić.

– Pomaga pani własna popularność?

– Pomaga. Gdy stoję przy moich niepełnosprawnych są zupełnie inaczej traktowani – otwierają się przed nimi drzwi, które zwykle są dla nich zamknięte. Gdy jeżdżę z moim teatralnym zespołem Radwanek, moi niepełnosprawni aktorzy są często przyjmowani jak zespół Narodowego Teatru. Mam świadomość, że

moja twarz, na którą pracowałam 35 lat, ma pewną siłę. I tę twarz z premedytacją i beczelnie wykorzystuję. Ona jest moja i to ode mnie zależy, co z nią teraz zrobię. Dokonałam wyboru: nie będę reklamować proszku do prania, ale będę zwracać uwagę na świat ludzi niepełnosprawnych.

– Czy Anna Dymna pomagająca osobom chorym to koniec Anny Dymnej – aktorki?

– Nie, nie rezygnuję z zawodu. Przez całe życie tak robiłam, że nie brałam wszystkiego. Inna sprawa, że próżności mam teraz mniej niż kiedyś. Więcej ofert mają młode i piękne dziewczyny niż ja, 54-letnia dojrzała kobieta. Ale faktem jest, że to, co mi się dzisiaj proponuje do zagrania, w większości jest mało ciekawe. Szkoda mi na to czasu. Nic na siłę. Nawet gdybym już niczego nie zagrała, to już jestem absolutnie spełnioną aktorką.

– Jacy są niepełnosprawni, z którymi pani się spotyka? Często mówi się, że są to ludzie wyjątkowi.

– Ja mówię o nich „niezwykli”. Słowo „niepełnosprawni” jest kompletnie fałszywe. Poznałam ludzi, którzy nie mają rąk, nie mają nóg, a są dużo sprawniejsi ode mnie. Mają trudniejszą sytuację, ale są sprawni. Na przykład osoby z porażeniem mózgowym. Na pierwszy rzut oka często nas przerażają. Są pokurczone, nie mogą pisać, nie mogą mówić, nie mogą chodzić, wydawałoby się: nie mogą nic. Ale w środku ci ludzie są tacy sami jak każdy zdrowy człowiek – wrażliwi, cudowni, mądrzy. Oni musieli szybciej dojrzeć niż my. Wiedzą, że jeżeli się budzą i widzą słońce, to jest to powód do szczęścia. My tego już nie widzimy, dla nich jest to najważniejsze.

– Można być szczęśliwym pomimo tak wielkiego cierpienia, jakie jest ich udziałem?

– Z tym cierpieniem to jest ciekawa rzecz. Ono jest ogniem, które ich w pewnym sensie wypala, niszczy. Ale w końcu coś takiego się w nich dzieje, że wielu z nich mi mówi. – „Wiesz, poczułem się jakbym był wybrany”. A ja na to – „Co ty opowiadasz?! Przecież ty masz raka, cierpisz!” A on na to „Ale czy ty wiesz, jak fascynująca jest taka walka o każdy dzień życia?”. Albo pewna pani Jola, od lat sparaliżowana, bierze mnie za rękę i szepcze uśmiechnięta. – „Ja mam najpiękniejsze życie”. To ja znowu się dziwię – „Jak to? Przecież nie chodzisz” – mówię. A ona – „Tak, ale ja pełnię okropnie ważną funkcję. Uzmysławiam ludziom, jacy są szczęśliwi”. Wielkie cierpienie potrafi wyzwoić wielką siłę, niewyobrażalną dla ludzi zdrowych.

– Dlatego pani założyła swoją fundację „Mimo wszystko”? Aby pomóc im nie być samotnymi?

– Fundację założyłam, aby uratować 26 chorych umysłowo, którzy stracili prawo do warsztatów terapeutycznych. Moje warsztaty uratowały ich od beznadziei. Dzięki niej mam też wreszcie możliwości prawne, które pozwalają mi nieść pomoc bardziej konkretną, uporządkowaną, a także finansową. Niedawno nasze warsztaty odwiedzili fryzjerzy z najlepszego zakładu w Krakowie. Przez kilka godzin strzygli, myli i modelowali głowy tych naszych 26 podopiecznych. Ci zaś podziwili się z nami tak wielką radością, że choćby dla takiego widoku szczęścia warto żyć.

– Jak pani radzi sobie z emocjami?

Przecież to całe ludzkie cierpienie bierze pani do siebie, bez żadnego złoczenia. Bardzo boli?

– Bardzo. Czasami w takim dniu nagrań, gdy wracam do hotelu, to przez całą noc nie mogę się uspokoić. Wiem, że czasem wyglądać muszę jak wariatka. Przychodzę do hotelu po nagraniach, płaczę, nie śpię, nie wiem, co mam zrobić ze sobą. Nawet nad tym nie staram się zapanować. Ale to właśnie te rozmowy i przyjaźnie dają mi siłę do wszystkiego. Wiem, że nie jestem już sama. Mam fundację i moich kochanych fundacyjnych pracowników-przyjaciół. Najlepszą dla mnie terapią jest fakt, że mogę pomagać i pomagam. Mnie to wzmacnia, że nie zostawiam nikogo samego.

Rozmawiał: PIOTR POLECHOŃSKI

ra.” A ona mówi do mnie zdziwiona. – „No, ale przecież ja mu jestem potrzebna”. Po występie w moim programie pobrali się. Byli małżeństwem przez półtora roku. Ale takiej miłości, jaką przez ten czas widziałam w ich oczach, nie da się opisać. Potem Bartek umarł w ramionach Danusi.

Anna Dymna (z domu Dziadyk), aktorka teatralna i filmowa o korzeniach ormiańskich. Urodziła się w 1951 roku w Legnicy. Absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie (od 1990 roku jest także wykładowcą tej uczelni). Od 1973 roku związana z krakowskim Teatrem Starym. Żona znanego artysty Wiesława Dymnego, tragicznie zmarłego w 1978 roku. Obecnie jej mężem jest Zbigniew Szota (syn Michał, rocznik 1986). Od 1999 roku działa na rzecz osób niepełnosprawnych. Od 2003 roku prowadzi cykl telewizyjnych rozmów z ludźmi chorymi „Anna Dymna - Spotkajmy się”. W tym samym roku założyła fundację „Mimo wszystko”, patronuje też Festiwalowi Twórczości Teatralno-Muzycznej Osób Niepełnosprawnych Intellektualnie „Albertiana”. Obecnie najważniejszym celem fundacji jest budowa ośrodka dla niepełnosprawnych w Lubiatowie w gminie Choczewo (powiat wejherowski).